

Poznań, 1 sierpnia 1988r.

Wanda Burzyńska-Pazdowa

Wspomnienia z czasów okupacji

Symbolicznie okrążyła rocznica 44-ty powstania warszawskiego, w czasie którego wplótł się cały miesiąc mego życiorysu, prowokuje mnie do przekazania moich wspomnień.



Byłam wtedy, po śmierci ojca, głównym lokatorem mieszkania oraz głową rodziny przy ul. Chłodnej 38 na II piętrze. Latem 42 roku mieszkanie to przez cały miesiąc stało się schronem dla 3-osobowej rodziny żydowskiej Posnerów, a przez następne 2 lata kwaterą dla Heleny Posner, wtedy studentki filologii klasycznej, obecnie żony prof. Libery z Uniwersytetu Warszawskiego. Oczywiście była to wtedy b. studentka, przedwojenna - żyjąca aktualnie z korepetycji języków obcych, których udzielała biegając do mieszkań prywatnych swych uczniów. Jednym z nich był także mój brat Staszek, wprawiający się pod jej kierunkiem we władaniu językiem francuskim. Osobliwe jest to, że młodszy Janek nie wyraził żadnego zainteresowania i chęci w tym kierunku, a on właśnie jest teraz obywatelem francuskim, mieszkając na terenie Francji od 1945, kiedy to został wywieziony po upadku powstania na jesieni 1944r. do Stalagu, gdzieś daleko na Zachód. Został na Zachodzie – we Francji na stałe i języka francuskiego musiał się nauczyć, by żyć w tamtym środowisku.

Helenie Posner mieszkanie musiałam wymówić na żądanie komórki konspiracyjnej AK, które to przyniosła znana mi dobrze Janina Łyczewska, mgr geologii, pracownik Instytutu Geologicznego w W-wie. W moim mieszkaniu zainstalowano „skrzynkę kontaktową”, którą opiekowała się szczęśliwie bez wpadki Łyczewska aż do wybuchu powstania. Kilka spotykających się codziennie w tej „skrzynce” tzn. w moim mieszkaniu łączniczek znałam jedynie „optycznie” oraz z pseudonimów.

Obaj bracia Staszek 21, Janek 17 biegali na szkolenia wojskowe. Janek miał jedynie fałszywą kenkartę, którą musiałam mu wyrobić, gdy zjawił się przed Bożym Narodzeniem 1943 r. po ucieczce z „robót” w Breslau (obecnie – Wrocław). Pracowicie studiował matematykę i fizykę pod kierunkiem specjalnie przychodzącej studentki, zresztą także ukrywającej się Żydówki Ludki Łaskiej oraz nauki „humanistyczne”, do których nie przykładał żadnego zainteresowania ku strapieniu uczącej go Bożeny Stanisławskiej, obecnie S. Piotry-franciszki z Lasek, a jęz. Francuski, jak już mówiłam zbagatelizował z punktu. Ja przenosiłam raz po raz pod wskazane adresy większe sumy pieniężne, a moja Mama przekazywała „grypsy”, które przynoszono z niedalekiego Pawiaka.

Wypada wyjaśnić co było podstawą materialną do finansowania naszego życia oraz szkolenia „młodzieży”. Otóż była to „pracownia pantofli i kapci”, w której to produkcji byłam już dość mocna, prowadząc przez 2 lata z wielkim powodzeniem warsztat zarobkowy, pod patronem PCK, a później R.G.O. Przez rok byłam pochłonięta w pracy w Zawodowej Szkole Krawieckiej gdzie dano mi 40 godz. tygodniowych zajęć. Było tam zorganizowane tajne nauczanie („Szkola Zawodowa Krawiecka” w Warszawie prowadzona przez Siostry Nazaretanki miała bardzo wiele uczennic oraz 5 nauczycielek zawodu krawiec). Przez następne 2 lata

poprosiłam o zmniejszenie do połowy liczby moich godzin lekcyjnych, aby móc w domu urządzić małą „pracownię pantofli”, konieczną niestety do finansowania potrzeb życia codziennego rodziny, czego nie mogłam uzyskać za pracę w szkole. W domu miałam 2 stałe pracownice, którym zapewniałam nawet urlopy płatne (Ludmiła Kruszyńska – studentka prawa Uniw. Lwowskiego i Janka Tomaszewska – maturzystka) poza tym kilka osób pewne fragmenty brało do domu – chałupniczo.

Każdy z członków rodziny miał także przydzielane systematyczne funkcje w łańcuchu produkcyjnym. Staszek modelował na kopycie niektóre fasony pantofli oraz był zaopatrzeniowcem, kupującym na mieście konieczne do produkcji materiały (skórę, gumę, płótno lniane, taśmy tapicerskie, sznurek, korek, nici, gwoździe itp.). Janek modelował koturny z płyt korkowych. Mama szyła na maszynie niektóre fragmenty cholewkarskie i pilnowała codziennego dla wszystkich pracowników posiłku obiadowego, w czym pomagała jej przychodząca na 3 godz. codziennie posługaczka.

Obaj chłopcy uczyli się – Janek tajnie w naszym domu. Staszek w zalegalizowanej Zawodowej Szkole Handlowej, gdzie zresztą w czerwcu 44 zdał maturę ogólnokształcącą. Obaj także chodzili na szkolenia wojskowe i brali udział w różnych „akcjach”, w co oczywiście nie byłam wtajemniczona.

W wyniku jednej z nich przywieziono w ostatnich dniach lipca 1944r. Janka do domu z nogą owiniętą krwawym opatrunkiem. Był to postrzał. Drugi, sterylny już opatrunek, zrobiony przez moją koleżankę, pielęgniarkę Julę Banajczyk nie uchronił przed komplikacjami. Gorączka była powodem, że opieka z komórki konspiracyjnej umieściła go w szpitalu „Maltańskim” na Pl. Bankowym (Dzierżyńskiego). Odwiedziłam go w tym szpitalu, odległym od naszego domu zaledwie 15 minut pieszej drogi. Zupełnie inaczej to wyglądało, gdy postanowiłam odwiedzić go po raz drugi w dniu 3 sierpnia.

Tego dnia powstańcom udało się zlikwidować „Wachę-Nord”, placówkę potężnie uzbrojoną, straszącą z narożnika ul. Żelaznej i Chłodnej naszą dzielnicę przez całą okupację. Nastrój wytworzył się nieomal zwycięski – zaczęły się pokazywać flagi biało – czerwone na bramach domów!

Wypadało mi iść w stronę Śródmieścia, a natarcie Niemców szło od Woli – myślałam, że będzie łatwo... Tymczasem... już przejście poprzez ogromną barykadę na skrzyżowaniu z ul. Żelazną okazało się nielada problemem. Wąskie przejście dla komunikacji było pod ustawicznym ostrzałem snajperów.

Poczułam się już wtedy bardzo stara i nieodważna, przepuszczając ustawicznie z mej kolejki do skoku małe harcerki – łączniczki. Był to skok jak w nieznaną, niebezpieczną głębię. Ale udało się! Za barykadą była ziemia zryta pociskami i ciągle gwizdały kulki snajperów.

Należało szybko przebiec do piwnic najbliższego z domów i zaraz po tym tą piwniczą drogą kamienic ul. Elektralnej zdążyć do Pl. Bankowego, gdzie znajdował się szpital. Wszystkie domy miały poprzebijane otwory do sąsiednich piwnic, stąd więc możliwa była wędrówka bez narażenia się na ostrzał i odłamki, tak niebezpieczne na ulicach.

W jednej z piwnic spotkałam Halinę Truszkowską z małymi córeczkami i matką. Byłam świadkiem jak w czasie naszej kilkuminutowej rozmowy odnalazł ją postaniec z wiadomościami od jej męża, znajdującego się na placówce powstańczej (był w randze oficera

W.P.). Z Halusią już się nie żegnałam, zostawiając ją pochłoniętą i przejętą odbiorem wiadomości.

Do samego szpitala weszłam już spokojnie – zdarzały się niekiedy momenty ciszy. Pogoda była przecudna, słoneczna. Okna w budynku szpitalnym były szeroko pootwierane. Nastrój chorych, częstowanych jakimiś smakołykami (zdobycznymi zapewne) wspaniały. Janek z odrazą spojrzał na kilka moich klopsów z koniny i kawałek kartkowego chleba...

Czuł się już dobrze. Nogę miał w gipsie, gorączka minęła. Był w pięknym, jasnym pokoju I piętra, gdzie światło słońca i ciepłe letnie powietrze wnikało przez szereg otwartych okien. W chwilę po odnalezieniu brata, słuchałam razem ze wszystkimi z napięciem komunikatów „frontowych”, czytanych z entuzjazmem przez młodą łączniczkę, która stojąc w otwartych drzwiach między salami, głosiła nieomal triumf powstańczych dokonań, rozpaliała ognie radości i zachwytu na twarzach słuchaczy.

-Aż – nagle – to było pierwsze (historyczne!) wydarzenie czasu powstania – szyby zaczęły ostro brzmieć od warkotu b. blisko i nisko lecącego samolotu i jednocześnie potworny huk kolejnych detonacji, padających gdzieś b. blisko pocisków! Wszyscy słuchacze tak radośnie przed chwilą uśmiechnięci zaczęli podrywać się z łóżek i panicznie wciskać się do ciemnego korytarzyka- byle jak najdalej od groźnych okien. Było to zapewne wczesne popołudnie, ale już od następnego ranka rozpoczęli Niemcy swój nowy proceder, nękać takimi nalotami od 7 rano do zmierzchu co każdą godzinę zegarową, a więc 12 razy. Mieli oczywiście jeszcze i inne narzędzia nękania, jak czołgi tzw. „tygrysy” i granatniki zw. „krowami” lub „szafami”.

Nalot, który przeżyłam w szpitalu „Maltańskim” trwał zaledwie kilka minut, ale wyniki były straszne. Jedna z kamienic na trasie mego odwrotu tarasowała ulicę pożarem, z następnej wyciągano z piwnic rannych od pocisku, który rozwalił fragment domu od dachu do piwnicy. Wynoszeni stamtąd ludzie wyglądali jak ulepione z gliny, drgające posągi. O zmierzchu dotarłam do piwnic „mojego” domu, którego bramę dekorowały flagi biało – czerwone.

Spotkawszy się z moją Matką, zaczęłam z przejęciem, pełnym grozy opisywać przeżycia mej wędrówki – ale – wiadomości te przyjęte zostały z pogardliwą miną: -„panikara jesteś!- nie widzisz, że wszędzie wiszą flagi?” – powiedziała i pobiegła na II piętro do mieszkania, aby coś tam jadalnego przygotować.

Zmęczona przeżyciami, zasnęłam mocno na kawałku chropowatej deski w piwnicy wśród obcych ludzi. Gdy obudziła mnie ranna krzątająca ludzkiego mrowia – Matki mojej już nie mogłam odnaleźć. Spotkałam Ją dopiero w kilkanaście miesięcy później – już po wojnie, kiedy dopiero dowiedziałam się, że wyszła o świcie w stronę piekarni, a potem przesunęła się jeszcze dalej - ciągle w kierunku Woli, skąd nacierali Niemcy. Zaczęły się już ranne naloty. Schroniła się do kościoła Redemptorystów na Karolkowej, skąd po kilku godzinach nękającego natarcia „tygrysów” i samolotów razem z wielkim tłumem ludzi i szeregiem zakonników dostała się do niewoli. Był to 4 sierpnia. Przepędzono najpierw wszystkich do innego, większego kościoła na Woli, a potem do Pruszkowa. Po kilku dniach segregacji znalazła się w Breslau (obecnie Wrocław) w fabryce „Archimedes” (z tej samej fabryki uciekł przed pół rokiem – w grudniu 1943 r. jej syn Janek – ten sam – leżący w szpitalu „Maltańskim”), gdzie Niemcy produkowali granaty używając do tego oczywiście niewolników. Tam właśnie spotkała Julę Banajczyk, pielęgniarkę, która nieomal przed tygodniem zakładała u nas w domu opatrunek rannemu bratu. Razem z Julą moja Mama

przeżyła wiele miesięcy w tej fabryce i w sąsiednich robotniczych barakach, gdzie były zakwaterowane. A z końcem wojny tłumy głodujących robotników – więźniów pchane były na Zachód przed linią frontów walczących. Przewędrowały więc na piechotę w żebraczym pochodzie kawał objętej wojną Europy.

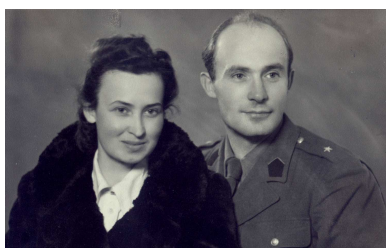
A ja zostałam już sama na ul. Chłodnej. Starszy z braci był w ogniu walki powstańczej na Czerniakowie, skąd 16 września uratował się, przepływając w pław nocą Wisłę. Tam dalej z Armią Berlinga szedł, jako już „czołgista – Polak” na Berlin, kończyć wojnę.

Sama wśród obcych ludzi w piwnicy nie miałam już oporów, aby dwa dni później 6 sierpnia, gdy Niemcy wygarnęli wszystkich z naszej piwnicy, urwać się z szeregu, wskoczyć do następnej, niezdobytej jeszcze bramy i następnie, po trzech dobach perypetii, dobrnęłam poprzez zgruzowane Getto i okolice pustego już Pawiaka na ul. Muranowską – strefę wtedy powstańczą i wreszcie na „Starówkę”. Na Nowym Mieście, w wąziutkiej kamieniczce obok kościoła Sakramentek mieszkali moi krewni. Przez kilka dni byłam tam, obserwując pożar kopuły kościołka i wreszcie zdecydowałam się szukać dalej „szczęścia”, gdy kamieniczka znalazła się na linii ostrzału granatnika. Uszkodziła się znacznie, a ja wyszłam żywa ale obsypana sadzami z rozdmuchanych przewodów kominowych.

Przed świtem spotkałam się w pobliskim kościele P. Marii Jana Dobraczyńskiego, aktualnego „sztabowca”, który mnie zaprowadził do schronu, gdzie znajdowała się jego żona z dwiema córeczkami. Tak więc całe dwa tygodnie byłam razem z nimi.

Początkowo na Nowym Mieście, w piwnicach schroniska dla staruszek, później w schronach przy klasztorze Dominikanów na ul. Freta, gdzie także pracował Sztab Powstańczy Starego Miasta oraz na korytarzach klasztornych był szpital powstańczy z setkami rannych, leżących na ziemi. Dni spędziłam wśród nich, świadcząc im drobne usługi salowej – sanitariuszki. Tam spotkałam Janę Łyczewską już w mundurze oficera W.P. (była „szefową” od łączniczek z „mojej” skrzynki kontaktowej). Ona właśnie proponowała mi w momencie kapitulacji, abym razem z jej grupą przeszła kanałami do Śródmieścia. Ale ja, doświadczona „panikara” wybrałam już teraz... Pruszków. A więc z tłumnym korowodem wypędzonych z piwnic Starówki ludzi szłam bolesnym pochodem cały dzień przez niszczoną ustawicznie Warszawę aż na Dworzec Zachodni i wreszcie w nocy już do Pruszkowa. W czasie tego długiego „marszu” wygnanek ze Starówki na odległy Dworzec Zachodni, „opiekujący” się nami żołnierze niemieccy – przedstawiciele „Kulturalnego Narodu” – łowili na rękach i szyjach kobiet biżuterię i zegarki, tłumacząc grzecznie, że i tak „nie będzie to wam potrzebne...”. Było potem 3 doby kwaterowania w pofabrycznych barakach, segregacja i jazda bydłowym pociągiem na Zachód w nieznane.

I wreszcie – już po raz ostatni urwałam się z tego pociągu, aby po przebrnięciu 15 km, znaleźć się w wiosce, gdzie znajdował się brat mego późniejszego męża razem z rodziną, wysiedloną z Pomorza. Adres ich pamiętałam dobrze, ponieważ korespondowałam z nimi w czasie okupacji. Tak więc wyszłam naprzeciw nowego rozdziału w życiorysie.



W końcu lutego 1945r. dotarł tam Zygmunt mój narzeczony, który wędrował z oswobodzonego przez Armię Radziecką oflagu w Woldenbergu.

Nasz ślub odbył się 8 marca 1945r. na Jasnej Górze. Nie mieliśmy koniecznych do ślubu metryk – tak więc miejscowy

proboszcz oświadczył, że jedynie biskup może w takiej sytuacji zezwolić na ślub. Biskup najbliższy znajdował się w niedalekiej, odległej o 100 km Częstochowie. Tam zaś była moja koleżanka z rabczańskiego grona – Irena Cyganowska. Korespondowałam z nią, a jako mgr filologii klasycznej i działaczka Caritasu, ułatwiła nam całą sprawę.

Powrót „młodej pary” do wioski był niełatwy i wielogodzinny ze względu na ówczesne warunki komunikacyjne. Kopne śniegi, utrudniające nam drogę – 6 km – dojazdu do stacji kolejowej czasie jazdy do Częstochowy zamieniły się 9 marca w drodze powrotnej w podmuchach silnego, ciepłego wiatru w głęboką białą pianę.

Kilka tygodni później, w końcu kwietnia 1945r. dobrnęliśmy do następnego etapu w życiu – do Chojnic po tygodniowym „mieszkaniu” w towarowym wagonie kolejowym, szczęśliwie zdobytym przez szefa Zygmunta w jenieckim mundurze oficerskim.



Wanda Burzyńska – Pazdowa,

